№ XVI. 3

Cena 2 m.

Łazik



Bolszewik do litwaka Myśmy podarowali Wilno litwinom, a tu znów te buntowszczyki, widzę, wracają.
— Bo ja tobie mówię: trzeba litwinom podarować Warszawę. Inaczej nic z tego interesu nie będzie.

B U N T.

Kazano Ci, Generale, stać..
Rozkaz — rzecz święta na wojnie...
Więc miałeś patrzeć spokojnie,
Choćby Cię własna mać
O ratunek błagała;
Choćby się w mękach tarzała —
Ty miałeś patrzeć i — stać.

Tak chciała dyplomacja, co światem dziś włada.
Tak rozkazała nam Najwyższa Rada —
Potężna i nieomylna:
Polska — bez Wilna.

Co im — że gdzieś tam czyjeś krwawi serce?
Co im — że miasto, nieznane w Londynie,
Miasto, co męką już wiekową słynie,
Dalej ma żyć w poniewierce?

A więc stać miałeś i patrzeć bezczynny,
Chociażbyś cierpiał katusze.
Nie posłuchałeś. Zatem jesteś winny:
Powiedzą polskie usta — nie powiedzą dusze.

(bh)

*
* *

Gdy czerwona hałastra w swoje krwawe szpony
pochwyciła prastare jagiellońskie Wilno,
myśmy wszyscy odczuli naszą moc bezsilną
i słali tam nad Wilję jeno szept stęskniony.

Skrępowani przez różne ligowe traktaty,
staliśmy w grozie, słysząc naszych ofjar męki,
a po przez okrzyk bólu, przez męczarnie, jęki,
słychać było złowrogo, jak się śmieją katy.

Aż się właśni synowie tej ziemi porwali
i ku północy oręż ponieśli karzący..
przez protest samorzutny, przez bunt serc gorący
Ojczyźnie wieszczów naszych jej Wilno oddali.

St. Biernacki.

K A P R A L W O J T E K.

A był se Wojtek, wierutna oferma,
Łazik z łazików, który zawdy żer ma:
Czyli w koszarach, czyli we okopie,
Pilnuj wciąż przed nim papierosa, chłopie.

Bywało w marszu, jako lubił wiśnie,
Idąc bez wioskę, na drzewo się ciśnie,
Na oną słodkość będzie się zawzinał,
Nie pojmujący, że robi kryminał!

Niech kura gdacząc w krzaku jajka zniesie,
On ci najpierwszy tkwi przy interesie:
Cudzej własności ani weź nie znając,
Cap jajko, kurę i wieje, jak zając.

Niech dojna krowa na paśniku zdybie,
Już ją udoi, prawdzie nie uchybię,
A tak to zrobi sprytnie i prześcipnie,
Mleko w manierce, — krowa ani zipnie.

Inakszym razem widzi zbójca taki,
Iż baba w polu podbiera ziemniaki:
Pochwalonego jej układnie rzeknie,
Chwyci przygarście i duchem się wścieknie.

Na damską cnotę Wojtek, strach, jak łasy!
Wyprawia onym ciężkie ambarasy:
Czy bydła pasą, czyli siano trzęsą,
On, którą zdąży, uszczypnie za mięso?

Krzyczy panienka, grzmoci pięścią tudzież:
Jak na psa wrzaśnie—Nie twoje, a pódziesz!
On zasię szczypnie dalej, niby głuchy,
Jako sumienia braknie u tej juchy,

Dostał się w końcu Trockiemu w niewolę;
Jenszego jeńca głód w żołądku kole,
Lecz i tu pełne kiszki ma psia wiara:
U bolszewików żarcia się wystara!

Trocki z Leninem płaczą na złe czasy,
A Wojtek poszedł, capie im kiełbasy,
Zakąsi plackiem i — kończąc rzecz krótko,
Namaszcza brzucho bolszewicką wódką.

I kto się rzeczy takowej spoździeje:
Kiej ich ogłodził, — do swej braci wieje!
Niesie w podarku — rzeczy nie do wiary! —
Skradzione mochom czerwone sztandary!

Gdy się do swoich nakoniec doszwenda.
Uradowała się cała komenda,
Galon kapralski na ramię mu wtrynia
Rzekąc: — Zuch chłopak, choć czasami świnia!

Łazik

PIOSENKA O GOSPODZIE.

I.

Żołnierski stan ma cierni dość,
gdy przyjdzie wojny chwila,
to też żołnierza bierze złość,
gdy patrzy na cywila.

Gdy żołnierz nieraz w mroźny czas
w pazury sobie dmucha,
to cywil sobie w futro wlazł
i cieszy się psiajucha.

Gdy żołonierz nieraz z wsi do wsi
po błocie nocą człapie,
to cywil sobie w łóżku śpi
i pod pierzyną chrapie

My jedno mamy lepsze od cywila,
Co wśród kłopotów życie nam umila:

Gospoda — to nasza pociecha
Gospoda — wszystkim się uśmiecha
W gospodzie — żołnierz odpoczywa
W gospodzie — można dostać kufel piwa
W gospodzie tanio niesłychanie,
W gospodzie wyśpisz się, jak król.
W gospodzie piękne panie
ukoją twe szlochanie,
rozproszą życia ból.

II.

Pan cywil zawsze buty ma,
ma spodnie i zegarek,
po mieście zawsze wesół gna
i nie zna, co „kanarek".

A żołnierz, gdy po mieście mknie,
to jest nieszczęsny ptaszek,
bo ciągle musi kłaniać się
i ciągle wali w daszek.

Pan cywil nie zna, co to głód,
bo nędzna ta oferma
po knajpach się najada wbród
i wszędzie suty żer ma.

My jedno mamy lepsze od cywila,
co wśród kłopotów życie nam umila:

Gospoda — to nasza pociecha
Gospoda — wszystkim się uśmiecha
W gospodzie — żołnierz odpoczywa
W gospodzie — można dostać kufel piwa
W gospodzie tanio niesłychanie,
W gospodzie wyśpisz się jak król,
W gospodzie piękne panie
ukoją twe szlochanie
rozproszą życia ból.

III.

Gdy cywil kocha, kiedy chce,
o każdej doby porze,
to żołnierz się do baby rwie
zazwyczaj, kiedy morze.
Gdy cywil z żonką idzie spać
i kocha ją na miękko,
to biedny żołnierz musi brać
co bądź — co ma pod ręką.

Gdy cywil kiedy dzieci ma,
to zna je wszystkie przecie,
a biedny żołnierz naprzód gna
i trwoni je po świecie.

My jedno mamy lepsze od cywila,
Co wśród kłopotów
Życie nam umila.
Gospoda—to nasza pociecha i t. d.

Stach.

Z PRZYMIARKA.

Napiłem się wódki,
Napiłem się rumu —
Zara mi przybyło
Chłopskiego rozumu
Oj dana!

Z gorzałki je rozum,
A fantazja z wina —
Spodobała mi się
Wójtowa dziewczyna
Oj dana!

Spodobała mi się,
Bo ślepiami strzela —
Już my się nie mogli
Docykoć wesela
Oj dana!

Portek, ni kosuli,
Ani marynarki
Nie kupi, kto mądry,
Tero bez przymiarki
Oj dana!

Trocha przymierzyłem,
Powiadam: dziękuję.
Ady widzis sama:
Nie bardzo pasuje
Oj dana!



Łazik się przy bufecie wstawił doskonale.
Na rotmistrza, co siedzi, już nie zważa wcale



Gdy mu się brzydko odbija,
Z kołka czapkę porywa, lecz nie patrzy—czyja.



Idzie szarża. Więc łazik—do salutowania...
— Co mi się ten porucznik tak uprzejmie kłania?



A to znów co takiego? Uśmiałby się koń!
Stoi warta i raptem prezentuje broń.



Widać, żem dziś w Warszawie postać znakomita.
Wie o mnie przecież każdy, kto „Łazika“ czyta.



Spostrzega w dali Jadzię. Choć mu kosza dała,
Nie może się powstrzymać i pędzi, jak strzała.



Dała rączkę! Co za zmiana!...
— Zawsze chciałam kapitana...



Jaka słodka! Jaka miła!
I buzi nie odmówiła.



Nagle — przerwane rozkosze...
— O legitymację proszę.



Zabrali go z kwaśną miną...
Łzy Jadziuni ciurkiem płyną.



Przed restauracją pułapka.
Wypada rotmistrz... Toć to moja czapka!



Skończyło się kapitaństwo...
Jeszcze paka za pijaństwo.

CO MOWI ŁAZIK?

Bez dwa dni byłem na polskim urlopie w Warszawie, bo chciałem stolicę naszą poratować jajami, że to mi udało się podczas jednego ataku trochę zdobyć. Piszą po gazeciskach, że Warszawa tera całkiem przez jajów, to myślałem, że interes zrobię.



Ale jak się ino kobity zwiedziały, że przyszedł legun z jajami— zara me opadły i jak się nie wzięły cisnąć... tak mi jaja pogniotły i nikt nic z tego nie miał.

Idę markotny ulicą, aż tu patrzę — Wierciołek Kajetan... Ten? Nie ten? Ten sam! Na pierwsze oko nie poznałem go, tak ci się przefasował na dziedzica.

Przed wojną był za karbowego w tym samym majątku, gdzie i ja służyłem niby jako oficjalista do kuni. Wtedy ruskie Wierciołka do wojska ciągali, ale nie mogli mu się zębów w gębie dorachować, bo na jednem weselu wszystkie wytracił, jako że straszny raptus był, a kiedy se podpił, do każdej baby z amorami lazł. Więc się wtedy na onem weselu, trocha z panem młodym przemówili i kilkanaście kłów mu ubyło.

Ale teraz i znaku po tem nie ostało. Gębę otworzy, to błyszczy, jakby się imperjałów nażarł.

Ano, gadu-gadu... Opowiada mi Wierciołek, jaki to on dziś hrabia: sklep własny ma na Zakroczymskiej, bo jeszcze za niemców ładne pieniądze na szmuglu zarobił, potem znowuj bez jakiś czas gorzelanym u jednego starokonnego był w takim trochę lewym jenteresie, potem zieloną granicą nierogaciznę szwabom konwojował, żeby — powiada — za dużo świń w kraju nie było. No i, jak rzekłem, na ten kuniec — od sznureczka do rzemyczka—na pana wyrósł.

Mieszka ci paradnie, lanszaftów se ponawieszał, fortepian, gramofon, waterklozet z prysznicem, nawet kolorowy kołnierzyk z prawdziwej gumy pod szczęką nosi.

Więc ja powiadam: Jakże, kontent jesteś, że nareszcie będzie pokój?

A on na to: Choroba wi, czy to dobrze, bo się mogą interesy popsuć. Chyba, żeby nam pozwolili bolszewikom towary wozić, toby człowiek jakoś wyżył; ale inaczej mogą ceny spaść, a tu podobno urodzaj dobry, zboża będzie przybywało, kartofle także samo w Wielkopolsce obrodziły...

— Przecie — rzekłem — chyba wam dosyć już tego bogactwa, co macie.

Obrusył się i zarżał, jak ten ogier.

— Niby to—mówi—człowiekowi może być kiedy dość dobrego. Ma tysiąc, to chce dziesięć tysięcy; ma dziesięć, to chce sto; ma sto, to o miljonie myśli.

Niby ma recht... Człowiek to już takie nienasycone bydle. Ale przecie—powiadam—wojna wszystkim się uprzykrzyła.

Dopiro wziął mnie pod pachę i pyta:

— Słychaj, czy prawda, że to Piłsudski wygrał tę wojnę?

— Ma się wiedzieć.

To się raptem skrzywił, jakby cytrynę korniszonem zakąsił i mówi:

— Szkoda.

— Niby dlaczego?

— Bo ja — mówi — jestem tera w takiej partji, co go chce koniecznie utrącić. Bo jeden mój wspólnik, mądry chłop—już się nawet kamienicy dorobił—powiada, że przy Piłsudskim takie śprytne ludzie, jak niby my oba, nie mogą spokojnie spać.

— To — mówię — tybyś wolał, żeby polską wojnę wygrał jaki francuz, albo anglik?

— Hm... — mruknął i już nic nie odpowiedział.

A kiedy odchodził, jeszcze raz me spytał:

— Słuchaj, czy wiesz napewno, że tam na froncie nie było tera żadnego aljanckiego generała?

— A djabli wiedzą, może i był jaki.

To się zara Wierciołek rozchmurzył i mówi:

— Wypytaj, Wicek, gdzie on i jak się nazywa. Ja zaraz w moim sklepie kuchtom bede rozpowiadał, że to ten francuz Polskę obronił. A potem dam znać do mojej partji, to go odszuka i jaki galanty lanszaft podaruje... Bedą mowy i wyżerka, a ja się w szmoking włoże i ze sztandarem póńdę. Dowiedz się, Wicek, koniecznie.

Poszedł.

A ja furt medytuje, co temu, cholerze, paskarzowi tak na tem zależy, żeby to nie Piłsudski wojnę wygrał?

RÓŻNICA.

— Wiesz pan, jaka jest różnica pomiędzy moją żoną, a fijołkiem?

— Nie.

— No to powąchaj pan!

ZAGADKA.

— Co to jest? Ona go chce, on jej nie chce. A jak on chce ją dostać, to ona go nie chce.

— Nie wiem.

— Facet i pchła.

Z ROZMOW TELEFONERA.

Jakie som dziwny ludzie na szwiecie, to mogę znaleźć kilkikinaście pizykładów.

Tu do nasze koszary przychodży wczoraj jeden podchorąży z takiego medalu na piersiach i powiada do mnie: Telefoner, popisz ty sze kiedy i zdobądź tyż jakie zdobycze wojenne od bolszewików, to będziesz miał tyż nagrodę. To ja jego mówie:



Mendeluje posłusznie, panie podchorąży, już mogę zaraz zdobiwacz sztandaru bolszewickiego, tylko proszę zgróry o nagrodę w sumie... no 5 tysięcy marki. To un mnie pita:

Coty, Telefoner, chcesz dostać pieniądze za sztandar nieprzyjacielski, a... tak nimożno. A ja jego mówie:

Zpsieproszeniem, panie podchorąży, ja właśnie, przeciwnie, ja chce dostać sztandar nieprzyjacielskiego za pieniądze, bo ja mam u bolszewików szwagra, to un sprzedaje sztandarów bolszewickich po 300 mk. sztuka...

Ale ten podchorąży nie chciał takie tranzakcje i mówi, bardzo ucieszony:

— Patrz, ja tam nie brałem pieniędzy, choć zdobyłem nawet karabin maszynowy, ale dostałem za to od jenerała tego orderu.

— To pan zdobył karabin maszynowy, a gdzie go pan ma?

To on mówi: „Już go ten generał odesłał do naszej kawalerji" i znów śze czeszy.

A ja mówie „pokaż pan tego orderu"... i oglądam go.

— I co pan taki szczęśliwy, jakby się pan w czepku urodził. Czy pan wi, ile wart jest taki karabin maszynowy?

— No, ze 60 tysięcy—mówi on.

— A ten order wi pan ile?

— Nie.

— No to widz pan, że ten order jest wart 10 złotych...

To czego un się cieszył? Niech się cieszy ten generał, co go zabrał tę armatę, a dał mu za nią tego orderu.

A inny dżywny człowiek to jest nasz nauczyciel na kursy dla alfabetów wojskowych. Ja na te kursy tyż chodze, choć nie jestem alfabeta, bo i w żargonu i w hebrajskim języku tyż mogę czytać. Nu ale uni to po polsku piszą tak naodwrót, jak wszystkie ludzie: właśnie od lewa do prawa i przez to ja sze musiałem przeuczać. To ten nauczyciel uczy przykładów na takie artykle: ten, ta, to, i już nie pamiętam dokładnie, ale daje jakiś przykładu zdaje sze: ten gęś, ta pudełko, to kamienice. I un sze pita kto z nas może mu jeszcze dać przykładu na ten ta to. To że inne nie chcą, więc ja wstaje i mówie: Ja wim. To on powiada:—No mów, Telefoner. Więc ja jego mówie. Że mnie pisali z domu, że Rózia, moja siostra, (una zresztą jest panna) miała pare dni temu dżecko...

To un mi przeszkadza i powiada, że to źle.

To ja mu kończe: „...ale ten tato od te dżecko ucik i jest niewiadomy..

To ten dziwny człowiek sze szmieje.

To na drugi raz on nam opowiada takie różne ładne historje, a potem chce, żeby każdy z nas tyż mu co opowiedział.

To tamte nie wiedzą, więc ja wstaje i mówie.

— Prosze pana, ja bede opowiedżał ładne historje, ale czy może być ze smutnym końcem?

To un mówi, że może, więc ja mówie:

„Znów ktoś wypił mleko skondensowate"...

A un sze czyska i powiada: Coś szty, Telefoner, pypcza dostał, co to za historja?

Ale ja mówie: Przepraszam pana, bardzo ładna. Jak ja byłem ordynansem u jednego porucznika, to jak ja mu rano meldowałem „Panie poruczniku, znów ktoś wypił mleko skondensowate", to on zawsze odpowiedżał:

— A to ładna historja!

— No dobrze, Telefoner, a gdzie jest smutny koniec?

To ja mówie: Pan sze pita! Kuniec był zawsze potem smutny, bo najprzód un me wymiszlał, a potrzecie ja miałem wirzuty na sumienie... bo to mleko mogło być trefne.

*

— Słuchaj, Wicek, ja tobie powiem zagadkę.

— Gadaj, dziadu.

— Jakie jest podobieństwo między kubyte i dyzenterje?

— Idź, idjota!

— Dlaczego ydjota? Przecze to bardzo prosto: na dyzenterje sze leczy i na kubyte także sze leczy.

*

Gdy Telefoner stanął po raz pierwszy na komisji, spytał go lekarz, czy nie ma jakich wad organicznych.

— Uj dlaczego ni mam micz? Ja ni mam wcale węch, to przez to ja także ni mam smak i prawde nie mogę mówicz...

— Hm.. tak? dobrze. Zaraz ja tu wam dam pigułkę na to cierpienie.

Lekarz wyszedł, a po chwili wrócił ze sporą pigułą, którą kazał Telefonerowi połknąć. Ten jednak, ledwo ją wziął do ust, wypluł z obrzydzeniem:

— Tfy!.. gó....

— A co! I węch się znalazł, i smak, i prawdę powiedziałeś.

Pewnego razu Telefoner odwiedził przyjaciela swego, który wygrał na loterji, kupił sobie willę pod Warszawą i żył, jak wielki pan.

— Nu Salomon, jak ty teraz żyjesz, co robisz?

— Co ja mam robicz?.. Nic nie robię. Zjem rano szniadanie, lecę na swoją werandę... Potem... jest objad... zjem, znów wracam na werandę. Zjem kolację, idę na werandę...

Telefoner zachwycony wraca do domu.

— Gdzie ty byłesz? — pyta go żona.

— Ja byłem u Salomona. Żebysz ty wiedziała, jak on tera żyje?... Uj...cl..cl...

— A jak sze ma jego Ryfka?

— Ty głupia! una sze tera nie nazywa wcale Ryfka. Una sze nazywa Weranda.

UCIESZYŁ SIĘ.

Pan Izydor spokojnie pije kawę w cukierni. Nagle podbiega jego przyjaciel pan Moryc Naturalny.

— Izydor, ty mieszkasz na rogu Wspólnej?

— Dlaczego nie?

— Na parterze?

— Jeszcze jak!

— W oknie żelione fyranki?

— Własznie, że tak!

— No to ładna historja: twoja żona szedży cała goła na kolanach twojego stryjecznego brata!!!

Pan Izydor zerwał się, przewrócił stolik, stłukł filiżankę i pobiegł do domu. Po kwadransie wraca uśmiechnięty, zadowolony, zacierając ręce. Moryc zaciekawiony, pyta:

— Co sze stało?

— Ej, ty, Moryc, niepotrzebnie mnie zdenerwowywałeś. To wcale nie mój stryjeczny brat! Ja go zupełnie nie znam.

SPIRYTYSTA.

— Szanowni słuchacze! Proszę o ciszę i głębokie skupienie. Medjum już spi głęboko i może odpowiadać na pytania. Proszę tylko pytać o rzeczy wzniosłe, dotyczące naszego bytu lub śmierci!

(Głos) — Niech powie, gdzie jest mieszkanie do wynajęcia...



— Widzę, że to jakiś frontowiec, bo tak ostrożnie zachodzi mi tyły.

FINANSISTA.

— Panie poruczniku, jak szedłem teraz ulicą po sprawunki, to słyszałem, jak kilku panów, rozmawiało.

— Cóż w tem tak dziwnego?

— A oni właśnie mówili, że marka polska bardzo kiepsko stoi, i że lepiej mieć dolary...

— Nie zawracaj głowy! Co mnie to obchodzi?

— Bo oni mówili, że sto marek mieć w kieszeni, to tak, jakby w niej nic nie było!

— Dobrze, ale co tobie do tego?

— Abo... bo... ja właśnie zgubiłem te sto marek, które mi porucznik dał na sprawunki!...

PRZYTOMNY.

Pan Aleksander Tygrys ma sztuczne zęby. Wchodząc do znajomych, gdzie odbywało się huczne wesele, kichnął na schodach i... zęby mu wypadły. Przerażony na myśl, że ktoś mógłby zauważyć, jak zakłada zęby, schylił się i schował je do tylnej kieszeni fraka. Przyszedłszy do salonu, siada i momentalnie zrywa się z okropnym krzykiem.

— Co jest?—pytają przerażeni goście.

— Nic... tylko ja sam siebie ugryzłem!!

DROBNE OGŁOSZENIA.

Złota szabla, którą gen. Ruzskij dostał od patrjotów polskich za zdobycie Lwowa, okazyjnie do sprzedania w lombardzie Szapsi Lewina, (Franciszkańska róg Komitetowej.)

DOBRA BRZYTWA.

— Żonusiu! Co to znaczy? Moja świetna angielska brzytwa nie chce golić zupełnie!

— Tylko nie przesadzaj, mój drogi, bo zupełnie ostra, sama nią wczoraj zatemperowałam cztery ołówki.

WARSZAWA 17-GO PAŹDZIERNIKA 1920 r.

Redaktor odpowiedzialny: S. Michalski.

Wydawca: Tow. Akc. „ŁAZIK" Druk S. Michalskiego Chmielna 60.